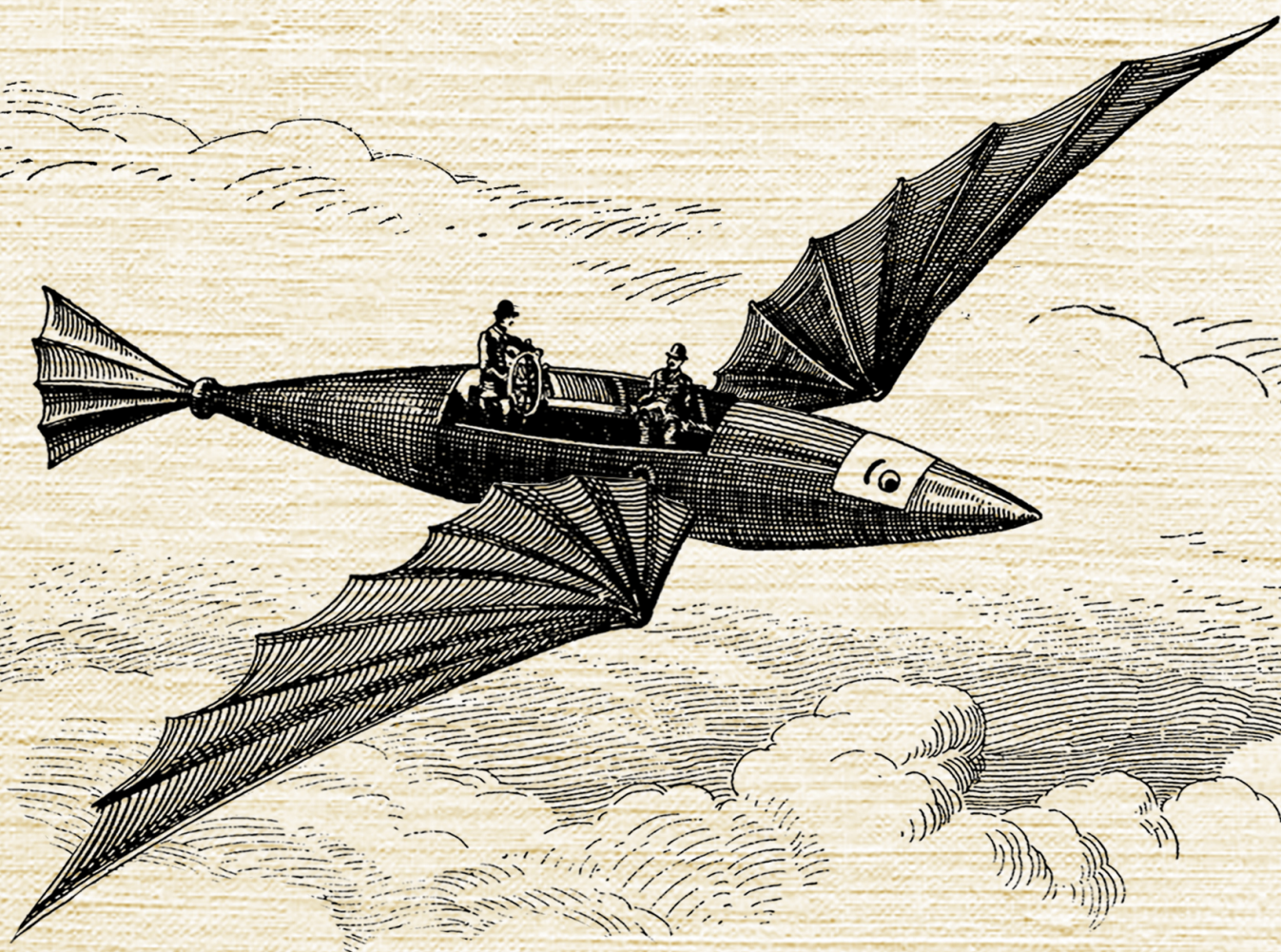


HENRYK BARDIJEWSKI

# Dzikie anioły

i inne opowiadania





Henryk Bardijewski

# DZIKIE ANIOŁY I INNE OPOWIADANIA

Wydawnictwo Estymator

[www.estymator.net.pl](http://www.estymator.net.pl)

Warszawa 2025

ISBN: 978-83-68384-22-2

Copyright © Sława Bardijewska i Liliana Bardijewska

Tekst: PIW, Warszawa 2006

Projekt okładki: Ewa Hajduk

E-book zgodny z Europejskim Aktem Dostępności EAA

## **SPIS TREŚCI**

[SZKOŁA TAŃCA](#)  
[BIUST SOKRATESA](#)  
[URODZINY U PAŃSTWA B.](#)  
[CURRICULUM VITAE](#)  
[BOHEMA](#)  
[GAZETA](#)  
[SMUTEK ORGANIZMU](#)  
[CZAS ZAPRZESZŁY](#)  
[TRZECI TOM CZECHOWA](#)  
[AKADEMIA STATYSTÓW](#)  
[CZAS WODY](#)  
[DZIKIE ANIOŁY](#)  
[ODWIEDZINY O ZMIERZCHU](#)  
[HARMONIA](#)  
[STUDIA NIŻSZE](#)  
[ŚPIEWY PORANNE](#)  
[OPOWIADANIE WŁOSKIE](#)  
[LEK ODLEGŁOŚCI](#)  
[DZWON](#)  
[MONSTRUM](#)  
[OPIEKUNKA](#)  
[KSIĄŻĘ DOKŁADNOŚCI](#)  
[SALON OPIEKI](#)  
[DŁUGI UŚCISK DŁONI](#)  
[KOBIETA TYGODNIA](#)  
[NIEBO PRZEGRANYCH](#)  
[WIDOKÓWKI](#)  
[WSZYSCY CHCĄ SPOTKAĆ ADAMA](#)  
[ODEZWA DO MŁODOŚCI](#)  
[CUDZOZIEMIEC](#)  
[POWIEDZ SŁOWO](#)  
[GUWERNER](#)  
[AMFILADA](#)  
[MAŁY I DUŻY](#)  
[PRZEWODNICY](#)  
[STRAŻNIK PAMIĄTEK](#)  
[WIELKOŚĆ](#)  
[GRA NA ZWŁOKE](#)

## SZKOŁA TAŃCA

Na tych drzwiach nie było żadnego napisu. Nie było przy nich dzwonek ani nawet wycieraczki. Czy tu mieści się szkoła tańca? Zapukałem. Nikt nie odpowiedział. Czy mistrz jest głuchy? A może śpi? Ale byłem przecież umówiony.

Po dobrej chwili usłyszałem człapanie i zdejmowanie łańcucha. Zobaczyłem nauczyciela tańca, a on zobaczył mnie. Obaj nie kryliśmy rozczarowania, lecz moje było większe. Mistrz wyglądał jakby urodził się z laską i nigdy się z nią nie rozstawał, nawet w chwili dźwigania primabaleriny. Twarz w strugach zmarszczek, czaszka bez jednego włosa, tylko oczy roztańczone, a właściwie skaczące. Nie wiem, czy dobrze trafiłem.

Pokój, do którego mnie wprowadził, był goły jak jego głowa – jedyną ozdobę stanowiły okna i widok na sąsiedni, niebrzydki dom. Wisiało jeszcze lustro, wielkie i zakurzone, i stał fotel, w którym mistrz zapewne drzemał. Poza mną nie było ani jednego ucznia ani adepta, a pokryty kurzem parkiet nie nosił śladów żadnych stóp.

– Nie jesteś pan najmłodszy, łaskawco, Nuriejewem już nie będziesz – rzekł mistrz, skacząc po mnie oczami. – Ale nic, nie takich już wprowadzałem na sceny.

– Ja bym chciał nauczyć się tanga – wyszeptałem.

Machnął tylko ręką, a właściwie laską. Słyszał jedynie to, co chciał słyszeć. Zasiadł w fotelu, a mnie kazał zdjąć marynarkę

– A buty? – spytałem.

Nie dosłyszał, polecił stanąć w rozkroku i podnieść ręce nad głowę.

– A partnerka? – rzekłem głośnie.

– Po co partnerka? Żeby rozpraszała w tańcu? Partnerki tylko dla zawodowców. Kobieta, łaskawco, szalenie człowieka rozprasza.

W oknie sąsiedniego domu pojawiła się jakaś głowa, chyba kobieca, i nie zniknęła już do końca lekcji. Mistrz przypomniał sobie o muzyce. Poczłapał w róg pokoju, do niskiego mebla, którego dotąd nie zauważyłem, i wydobył maleńkie radio. Długo szukał muzyki – wszędzie trwały rozmowy ze słuchaczami – wreszcie trafił na jakiś marsz. Nigdy nie tańczyłem marsza, ale dla mistrza nie było to nic nowego. Rozsiadł się wygodniej i rozpoczął monolog, którego musiałem słuchać z rękami nad głową.

– Marsz, łaskawco, to nic innego jak chód, tyle że chód znormalizowany, ujęty w ramy przestrzenne i czasowe, chód celowy. Na swój dyletancki i amatorski sposób człowiek przez całe życie maszeruje, a koniec marszu to koniec życia. Ja już, łaskawco, maszeruję coraz rzadziej, ale ty jeszcze pochodzisz, pochodzisz... I potańczysz. Nie tańczyłeś jeszcze marsza? A w ogóle kiedy ty ostatni raz sam tańczyłeś? Nigdy? To niemożliwe. Przypomnij sobie. Nie tańczyłeś nigdy z radości? Nie było aż tak wesoło? Nie przerywaj mi, bo stracę wątek. A jak stracę, to będziesz musiał tańczyć w takt samej muzyki, a ja chcę żebyś tańczył także w takt słowa. Ale do tego trzeba mieć słuch. Słuch i posłuch. Nauczyciel musi go mieć – i uczeń. Nawet widz, ale widz nam niepotrzebny. Nie tańczymy dla widza.

– A teraz pooddychamy. Wiem, że bez przerwy oddychasz – ale jak ty to robisz? Odchyl głowę do tyłu i wypełnij płuca powietrzem. Trzymaj. Wypuść ustami, tak żeby nic nie zostało. I jeszcze raz. A teraz nabierz powietrza do brzucha. I wypuść ustami. Usiądź na podłodze i podciągnij kolana pod brodę.

Wykonałem polecenie i usiadłem na twardej i zimnej podłodze. Marsz tymczasem się skończył i zaczęto odczytywać prognozę pogody dla rybaków. Gdyby ryby wiedziały ile akwenów jest zamkniętych dla żeglugi, pomyślałem, pływałyby o wiele spokojniej. Mistrz spoglądał na mnie spod przymkniętych powiek, intensywnie myślał o czymś, chyba nie o pogodzie dla rybaków, oczywiście nie – okazało się, że myślał o ciele.

– Co sądzisz o ciele, łaskawco? Ono może się człowiekowi znudzić, nieprawda? Tułów, głowa, dwie ręce, dwie nogi – i łączące je stawy, które nie pozwalają na zbyt wiele.

Urządzenie do dźwigania mózgu i duszy. Bardzo w zasadzie niepraktyczne. Podobno może wykonać półtora miliona różnych ruchów – ale ilu milionów wykonać nie potrafi? Pływa jako tako, lecz o fruwaniu nie ma mowy. A fruwanie jest takie ważne.

Zdrętwiały mi pośladki, chłód ciągnął od podłogi i wnikał w kości, a on mówi takie rzeczy. Wiadomo, że latanie jest ważne. W przeciwnym razie nie byłoby samolotów. Miał jeszcze sporo innych rzeczy do powiedzenia.

– Nie ma nas poza ciałem i to jest okropne. Ono ma na człowieka monopol. No i ta straszna właściwość, że żyje się od początku do końca bez żadnej przerwy! Życie powinno mieć antrakty. A tymczasem jedyne, co nam dane, to trochę ruchu. Marsz, gimnastyka, taniec, sport, walka. Jeszcze ten ruch utajony, uprawiany, rzekłoby się, pokątnie – miłość. Masz kobietę?

Zaskoczył mnie tym pytaniem.

– Czy mam? Nie ujmowałbym tego w taki sposób. Mamy siebie nawzajem. Od czasu do czasu. Ostatnio coraz rzadziej. A – pan?

– Co ja? Mnie kobiety potrzebne były jedynie do tańca. Do niczego więcej. Chociaż w zasadzie zawsze wolałem tańczyć z mężczyznami, a najchętniej sam. Sam, czyli ze światem. Bo każdy najdrobniejszy nawet ruch, jest ruchem wobec świata. Wobec tego, co nieruchome. Oczywiście, nieruchome pozornie, bo nic nie jest nieruchome. Nic, rozumiesz? Cały świat jest w tańcu. Wszechświat tańczy. Nawet Bóg tańczy. O ile istnieje, ale chyba istnieje, tyle że jest to Coś zupełnie innego niż sobie wyobrażamy. I właśnie raczej Coś niż Ktoś. Tak to wygląda, łaskawco. Na lekcję tańca musiałeś przyjść, żeby się o tym dowiedzieć. W żadnym kościele ci o tym nie powiedzą, zresztą tam oni wiedzą o tych sprawach najmniej. Staniemy w rozkroku, ręce na biodrach. Za duży rozkrok, mniejszy. Teraz wolno przenieś ciężar ciała na prawą nogę, lewą oderwij i podnieś. Tak trzymaj. A teraz uważaj: oderwiesz również prawą nogę.

– To niemożliwe! – zawołałem.

– No to co, że niemożliwe? Rzeczy możliwe zostawmy małym ludziom, a ty masz być wielki. Przynajmniej w tańcu.

Mówiąc to patrzył na mnie tymi swoimi skaczącymi oczami, głównie na moje nogi, które nagle stały się lekkie i sprężyste, podobnie jak ręce i cała reszta, poza głową, która pozostawała ciężka i wątpiąca, ale głowa przestała się liczyć. Nie myśląc wiele oderwałem prawą nogę i zawisłem na podłodze, nie bardzo zresztą wysoko, na pół stopy najwyżej. Dopiero po dłuższej chwili, kiedy mistrz przymknął oczy, opadłem wolno i przyjąłem postawę wyjściową.

– No widzisz – rzekł wyraźnie kontent – nie trzeba się zarzekać. Teraz staniesz na rękach.

– Nie stanę.

– Staniesz. Ja ci mówię, że staniesz. I zatańczysz. Utało się, że do tańca służą przede wszystkim nogi, ale to jest podejście jednostronne. Stawaj na rękach. O widzisz. Dobrze. Teraz wyprostuj dłonie – tak żebyś stał na palcach. Na wszystkich dziesięciu, nie zginaj żadnego. Nie trzeba przesadzać. Dobrze. Tak postój.

To było niesamowite. Stałem na palcach rąk, a moje nogi wolno krzyżowały się w powietrzu. Od biedy można by to nazwać tańcem, tym bardziej że mistrz znów złapał muzykę, chyba jakiś chorał. Zamiast krwi przyplęły mi do głowy przyjemne myśli o szczęściu, o radości, jaką daje panowanie ducha nad ciałem i w ogóle materią. Ależ ono mnie słucha, myślałem w uniesieniu, mimo że głowę miałem w dole. Gdybyż tak jeszcze zapanować nad słabością, bólem, chorobą... Nad starzeniem się. Nad śmiercią.

– Mistrzu – zawołałem – ja chyba nigdy nie umrę!

– Dopóki tak będziesz stał, na pewno nie. Ale wiecznie tak stać nie możesz. Musimy przećwiczyć inne figury, a jest ich tysiące. Stań na nogi.

Stałem i przyjrzałem się rękom. Nigdy nie sądziłem, że będą do tego zdolne. Dziękowałem każdemu palcowi z osobna. Gdzie ja właściwie jestem? Czy nie na szczycie wysokiej góry, skąd patrzę na leżący przede mną plackiem świat? Zamknąłem i otworzyłem oczy. Jednak to był wciąż ten sam pusty i zakurzony pokój zapomnianej szkoły tańca. Mistrz uśmiechał się tajemniczo

– Z czasem nauczę cię tańczyć na linie

Wiedziałem już, że dotrzyma słowa. Pomyśleć, że wstąpiłem tu, aby nauczyć się tanga. Tanga i kilku modniejszych tańców, dzięki czemu mógłbym pewniej czuć się w towarzystwie. Ale to było przed godziną. Teraz owo towarzystwo przestało mnie interesować. Wyrosłem, czułem to, ponad nie tak wysoko, że trudno byłoby znaleźć człowieka, który by mi dorównał.

– Mistrzu – rzekłem – czy mistrz miał kiedyś zdolniejszego ucznia?

Ale zaraz pożałowałem tego pytania. Mistrz spojrzał na mnie z góry, a potem zaczął się śmiać bezgłośnie, śmiać i złościć jednocześnie.

– Kto ci powiedział, że jesteś zdolny? – rzucił wreszcie. – Czy ja powiedziałem, że masz chociaż odrobinę talentu? Że musnęła cię muza tańca Terpsychora? Ty, łaskawco, masz tylko utalentowanego nauczyciela, to wszystko. Dużo, ale nie za dużo.

– Z panem, mistrzu – zawołałem z przekonaniem – zdobędę szczyty i zadziwię świat! Ja już – na pierwszej lekcji – przeszedłem samego siebie!

– Przejść kogoś takiego jak ty – uśmiechnął się – to nie jest trudne. Spróbuj przejść mnie.

Spojrzałem na niego z pobłażaniem. Nie chodziłem jak on o lasce, nie miałem twarzy w zmarszczkach, ani czaszki bez jednego włosa. Kiedyś zapewne był wielkim tancerzem, ale teraz? Jego miejsce było już tylko w fotelu.

Nie powiedziałem tego, ale on usłyszał. Podniósł się z zadziwiającą lekkością i odrzucił laskę. Jaki wysoki! Dotąd przygarbiony, prostował się długo i z chrzęstem, prostował się i prostował, aż wreszcie stanął tak prosty i wysoki, że wszystko przy nim wydało się krzywe i małe. Jeszcze stał a zdawało się, że już tańczy, milczał a zdawało się, że mówi, zamknął oczy a zdawało się, że patrzy. Radio ryknęło chociaż go nie dotknął, szła w eter jakaś suita na dużą orkiestrę, potem dołączyły chóry. Mistrz odrzucił płaszcz, którym był owinięty, i wtedy zobaczyłem, że miał na sobie cielisty trykot. Gestem nakazał mi, bym stanął pod ścianą. I zaczął.

– Życie moje... Długo, trzeba ci wiedzieć, tonąłem w tłumie tancerzy. Czasem pozwolono mi dźwignąć jakąś primabalerinę, i to było wszystko. Nikt, ani baletmistrz, ani dyrygent, ani tancerze, ani publiczność nie wyczuwali, kogo mają przed sobą. I ta choreografia, te, pożał się Boże, układy... Jakież małe wymagania od nas artystów! Od naszych ciał. Jaki brak idei. Więcej w tym było statyki niż dynamiki, więcej opadania niż wzlotów, więcej smutku niż radości. I ta niewiedza – czy taniec ma wyrażać życie ciała, czy życie ducha...I nieświadomość, że do pewnych stanów, doznań, przeżyć można zbliżyć się tylko tańcem – tylko dotańczyć!

Mówiąc to stawał raz na jednej nodze, raz na drugiej i wolno robił piruety, ale była to tylko rozgrzewka. Potem na powrót chwycił płaszcz i owinał się nim szczelnie. I mówił coś, co nie dochodziło do moich uszu, bo głużyła muzyka, lecz dochodziło do myśli.

– Ach ciało, ciało – czy musi być tak rzeczywiste? Tańcząc najchętniej ukrywałem je w materiałach, w draperiach, w fałdach, w zwojach, habitach, kapturach i opończach! Ciało było tylko kręgosłupem ubrania. Było w domyśle, w przeblaskach, w prześwitach – nie w swojej dosłownej nagości. Precz z naturą! Natura to niziny, natura to depresje, a duchowi trzeba wyżyn! I trzeba wysiłku. Nie oszczędzałem się, bo tańczyć trzeba ofiarnie, tańczyć do upadłego, jeżeli naprawdę chcemy oderwać się od ziemi!

Zaczął zataczać koła, najpierw małe, potem coraz większe, wpierw drobiąc stopami, potem w skokach, w podskokach, w wyskokach pod sufit, który zdawał mu się niebem, skąd opadał wolno, jak na niewidzialnym spadochronie. I mówił, wciąż mówił – a może tylko mówił? Słuchałem i patrzyłem, i pomieszały mi się ruch i gesty ze słowami, nie wiedziałem co widzę a co słyszę, nie byłem nawet pewny, czy to nie ja sam tak tańczę... A on tymczasem padł na ziemię i ogarnął ją ramionami.

– Ćwiczymy, ćwiczymy... Kładziemy się na ziemi tak, aby zagarnąć jak najwięcej przestrzeni. Tak, dobrze, szeroko, jak najszerzej... Wielki jestem, ogromny, przykrywam sobą całą ziemię, spowijam ją swoim cieniem, nie widać jej spode mnie, całą zagarniam. Oto ciało, wszechciało! A teraz, uwaga, teraz kurczymy się, kurczymy, kurczymy, tak żeby nic sobą nie zasłaniać, nie okrywać, nie przygniatać. Prawie mnie nie ma, nie ma, nie ma – jest tylko ziemia. Dobrze. Już.

Nagła cisza uderzyła mnie podmuchem strachu. Muzyka znikła, radio umilkło, nawet głowa za oknem gdzieś odeszła. Mistrz leżał na podłodze nieruchomo, ręce i nogi miał rozrzucone w geście zgoła nietanecznym. Zbliżyłem się na palcach, okryłem go płaszczem i sięgnąłem do powiek, by zamknąć nieobecne oczy.

– Ja żyję – rzekł cichym głosem. – To nie był ostatni taniec. Przedostatni. Ostatni jest jeszcze piękniejszy. Przychodź codziennie. Nauczę cię wszystkiego.

Podąłem mu laskę. Z trudem powłókl się na fotel. Lekcja była skończona.

– Przyjdiesz jutro?

– Przyjdę.

## BIUST SOKRATESA

Zostałem starcem nie z własnej winy i tego w zasadzie się trzymam. A jednak w głębi sumienia pojawiają się impulsy wątpliwości. Mój udział w tym procesie był mimo wszystko znaczący. Czy mogło być inaczej? Mój rozum, czuję to, jest za wąty, by to rozjaśnić, on w ogóle ma skłonność do przyciemniania, lubi, co tu gadać, mrok. Na szczęście są umysły jaśniejsze, rzucające światło a nie cień, i do nich w chwilach zwątpienia zanoszę moje pytania.

Twoje pytania są bez sensu, słyszę najczęściej, i to jest miarą trudności, wśród których moja myśl się obraca. Ewentualna odpowiedź oddala się wtedy o całą długość pytania, i to nie jednego, one bowiem rzadko występują samotnie, kochają liczbę mnogą, żeby nie powiedzieć, gromadną.

Autorytetem, który najczęściej mnie wyszydza, jest Nicz, umysł ścisły i nieścisły jednocześnie, wyszlifowany na myśli antycznej, wyostrzony na nowożytnej, konserwowany grą w szachy, stale utrzymywany w formie, powiedziałoby się, olimpijskiej.

Nicz mieszkał blisko bazaru we własnym domu z ogromną ilością okien. Mimo że było ich tyle, wciąż wybijał nowe, co prawda już tylko w dachu, bo ściany groziły zawaleniem. Większość okien wychodziła na bazar i to było, zdaniem Nicza, wielką zaletą budynku. Bazar jest sercem miasta, utrzymywał, dobrze mieć serce na oku. Dla mnie był to raczej żołądek, a od żołądka wolałem trzymać się raczej z daleka, ale Nicz miał swoje racje, a przede wszystkim miał głowę do interesów. Jeżeli mimo to wiodło mu się kiepsko, a właściwie zupełnie źle, wina leżała po stronie interesów, które w ogóle nie szły, i to nikomu.

– Nawet szara strefa już pada – stwierdził Nicz i rozpoczął wyprzedaż rodzinnych pamiątek.

W przeciwieństwie do mnie nigdy nie potrafił wyżyć z emerytury i musiał udzielać się na bazarze, i to raczej w charakterze sprzedawcy niż nabywcy. Tam też spotykałem go najczęściej. Nie miał stałego miejsca jak normalni kupcy, raz stał przy meblach, raz przy rowerach, dywanach, to znów przy taniej odzieży, gdzie ruch był największy. Niewiele miał do sprzedania, ale każda rzecz jaką oferował wzbudzała, trzeba przyznać, żywe zainteresowanie. Na początku przez dwa tygodnie sprzedawał palmę. Drzewko stało w drewnianej rzeźbionej donicy, która sama w sobie nadawała się do sprzedaży. Niestety, do transakcji nigdy nie doszło, popyt na palmy był znikomy, nawet promocyjna cena nic nie pomogła.

– Ludzie wolą mieć w domach zwierzęta niż duże i piękne rośliny – stwierdził Nicz. – Faunę przedkładają nad florę, wolą sierść niż zieleń. A czego to dowodzi?

Dla Nicza wszystko musiało czegoś dowodzić i ów związek dowodowy był dla niego równie ważny jak związek przyczynowy, którym wszystko na ziemi jest, jak wiadomo, ciasno związane, żeby nie powiedzieć spętane.

– To dowodzi naszej przynależności do świata zwierzęcego, przynależności moim zdaniem rosnącej. I to jest niepokojące.

Myśl ta była jedynym zyskiem, jaki przyniosła nieudana próba sprzedaży palmy. Gdyby mnie przyszła do głowy, uznałbym że wyszedłem na swoje, lecz dla Nicza to było za mało. Nazajutrz wyszedł na bazar z płótnem w złożonej ramie. Płótno to nazywał obrazem, i to było sympatyczne, bo dowodziło wrażliwości na sztukę malarską, nawet wtedy, kiedy jej nie było. Gromadzili się ludzie przed płótnem, co śmielsi pytali o jego wiek, nikt jednak nie zapytał, co obraz przedstawia. Tego, Niestety, nie wiedział nikt, nie wyłączając Nicza, i to mogło być przyczyną, dla której nikt nie zapytał o cenę.

– Nie ma już koneserów – wzdychał Nicz. – Już nie mówię o koneserach sztuki, ale nie ma nawet koneserów pieniędzy.



Faktem jest, że nikt na naszym bazarze nie znał się na dużych pieniądzach, co najwyżej na małych, a najczęściej na bardzo małych. Tymczasem po swoim płótnie, pamiątce rodzinnej znacznie starszej niż palma, Nicz obiecywał sobie wiele, jak się okazało, zbyt wiele. W ogóle za dużo obiecywał sobie po kulturze. Wystarczyło porozmawiać z miejscowymi bukinistami, by usłyszeć, że interes idzie marnie, a właściwie nie idzie wcale. To nawet było dziwne, że inteligentny i światły człowiek, jakim był niewątpliwie Nicz, tak wiele nadziei wiązał z kulturą. Inna rzecz, że niemal wszystko, czym dysponował, jakoś się z nią łączyło.

Po niepowodzeniu z malarstwem, wystąpił z rzeźbą, pamiątką rodzinną, do której był szczególnie przywiązany. Był to ciężki, marmurowy biust Sokratesa. Gdyby głowa była naturalnej wielkości, Nicz by jej nie uniósł, na szczęście nieznany artysta zadowolili się miniaturą, co zresztą i tak miało swoją wagę. Rzeźbiarz nie opatrzył dzieła żadną inskrypcją, a szkoda, bo przez długi czas trwały spory czyja to głowa, i dopiero stosunkowo niedawno przeważał pogląd, że chodzi o Sokratesa. Wcześniej padały różne inne imiona, zawsze jednak greckie, co do tego nie było wątpliwości. Ja od razu rozpoznałem znajome rysy Sokratesa, czym sprawiłem Niczowi dużą przyjemność.

– A jeszcze nie tak dawno – powiedział – żyły w mojej rodzinie osoby, które utrzymywały, że jest to biust Antystenesa! Na szczęście zabrali to błędne przekonanie do grobu, a wśród żywych przeważyli zwolennicy Sokratesa.

Na bazarze jednak niewielu było znawców filozofii greckiej i Nicz co chwila musiał udzielać informacji, a nawet wygłaszać coś w rodzaju małych wykładów. Zainteresowanie było spore, ja sam chętnie słuchałem co Nicz ma do powiedzenia, tym bardziej że z czasem zaczął gustować w tych pogadankach. Przy okazji Sokratesa przechodził, co zrozumiałe, do Platona, skąd już niedaleko było do Arystotelesa, o którym Nicz mógł mówić bez końca.

– Mógłby dawać korepetycje z matematyki – orzekła jakaś kobiecina.

Dlaczego z matematyki, nie dowiedzieliśmy się nigdy, faktem jest, że Nicz mógł udzielać korepetycji z wszystkiego. Ludzie coraz śmielej pytali o różne rzeczy, lecz najdalej w ciekawości posunął się starszy brodaty jegomość, podobny jak dwie krople wody do greckiego mędrca.

– Ile takich biustów pan dziennie sprzedaje? – chciał koniecznie wiedzieć.

Nicz był tak zaskoczony, że ja musiałem udzielić odpowiedzi

– To jest unikalne dzieło sztuki – wyjaśniłem. – Popiersie będące od lat w posiadaniu rodziny tego pana, można powiedzieć, rodowe. Obecne trudne warunki zmuszają właściciela do pozbycia się tej drogocennej pamiątki. Pojawienie się jej na rynku jest wyjątkową okazją dla koneserów rzeźby i miłośników antyku, okazją która już nigdy się nie powtórzy!

– Nie chciałem obrazić – mruknął brodacze o twarzy Sokratesa.

I zrobił coś, czego nikt dotąd nie zrobił: zapytał o cenę. Tego dnia wydała mu się zbyt wygórowana, więc postanowił ponowić pytanie nazajutrz. Na drugi dzień cena była identyczna, trzeciego dnia podobnie, lecz czwartego dnia już spadła. Brodacze liczył na to, że w następnych dniach będzie dalej spadała, i nie pomylił się.

– Rzeźba nie może być zbyt tania – ostrzegłem Nicza. – Za taniej nikt nie kupi.

Skutek był taki, że cena stanęła i przez tydzień nie drgnęła w żadną stronę. Ludzie dziwili się tej stabilności, tym bardziej że miało to wpływ na inne ceny, zwłaszcza na ceny artykułów spożywczych. Cukier, mąka, cebula, jaja – wszystko stało w miejscu. Nic nie taniało i nic nie drożało, rynek się ustabilizował, lecz tylko nieliczni wiedzieli dlaczego.

– Wpływ Sokratesa trwa przez wieki – stwierdził zadowolony Nicz. – Chyba go nie sprzedam.

– Wycofujesz się z handlu? – spytałem. – Opuścisz bazar?

– Czemu nie. Spróbuję żyć z korepetycji.

– Nie wiem, jak rynek na to zareaguje. Zastanów się.

Nikt nie wiedział. Rynek po raz kolejny objawił się jako jedna z najbardziej irracjonalnych dziedzin ludzkiej działalności. Cała ta historia z wyprzedażą Niczowych pamiątek jeszcze raz to potwierdziła.

Nazajutrz Nicz nie pojawił się na bazarze. Przez całe rano nic się nie działo, spokój, lecz już po południu ludzie zaczęli dopytywać się o Nicza i jego biust, ba, przypomnieli sobie o płótnie w złotej ramie, a byli i tacy, co żalowali, że nie nabyli palmy! Ceny towarów to spadały, to rosły, podobnie było z ceną pieniądza – dziki taniec, mówili kupcy. Nicz był nachodzony w domu, w tym stojącym przy bazarze wielookiennym domu – pytano o Sokratesa, o płótno, o palmę, o inne rodzinne pamiątki. Ludzie prześcigali się w ofertach kupna, składali też inne propozycje, na przykład wzięcia tych skarbów, jak mówiono, w komis. Znajomy brodac z twarzą Sokratesa proponował długoterminowy kredyt.

Nicz był jednak nieprzenikniony. Nie mówił tak, nie mówił nie, niby się godził, ale nigdy do końca, nie można było dojść z nim do porozumienia, nawet ja przestałem go rozumieć.

KONIEC BEZPŁATNEGO FRAGMENTU

ZAPRASZAMY DO ZAKUPU PEŁNEJ WERSJI